

Nazywam się Anna Płońska. Urodziłam się w Łapach. Do wybuchu wojny ukończyłam trzecią klasę szkoły powszechnej w Łapach. Moi rodzice przez cały czas mieszkali również w Łapach przy ulicy Miłskiego - Łapińskiego. Tam mieliśmy swój własny dom. Mój ojciec pracował na kolei i był jednocześnie prezesem związku "żółtego". W zakładach były dwa związki zawodowe: jeden był "czerwony", a drugi był "żółty". A mój ojciec był przewodniczącym związku "żółtego", który należy chyba nazwać "antykomunistyczny".

Mój ojciec był bardzo zaangażowany politycznie. Na poparcie tego chcę przytoczyć taki epizod z naszego życia. Kiedy zmarł Józef Piłsudski, mama przyszywała ojcu do ubrania żałobę. W tym czasie ja uczęszczałam do przedszkola. Bardzo płakałam i mamusia, pamiętam to dokładnie, do takiego seledynowego sweterka / mojego / też przyszyła mi żałobę. Tak więc ja nosiłam żałobę po Piłsudskim.

Któregoś roku, jesienią w Łapach odbywała się uroczystość w czasie której wojsku wręczano karabin maszynowy. Na tej uroczystości mój ojciec wygłosił mowę, którą komuniści dokładnie zapamiętali.

Wojna zastała nas w Łapach. W naszym domu było wolne mieszkanie, w którym stacjonowało jakieś dowództwo Wojska Polskiego. Wojskowi po rozmowie z moim ojcem powiedzieli, że powinniśmy się czuć bezpieczni i nie musimy nigdzie z Łap wyjeżdżać. Wykopali nam w ogrodzie spory schron. Od nich też mieliśmy informacje o sytuacji na froncie. Mieliśmy też radio, przez które też uzyskiwaliśmy wiadomości o nalotach.

Na czas nalotów mogliśmy szukać ratunku w schronie.

Już w pierwszym dniu wojny w czasie nalotu były w Łapach pierwsze ofiary śmiertelne. Wkrótce ojciec zdecydował się wywieźć nas do swojej rodzinnej wsi - Strumianki. Sam natomiast został służbowo delegowany do Wilna. Tam przebywał aż do wkroczenia Sowieców na Białostoczczyznę. Po powrocie do Łap poszedł do pracy. Chyba już na drugi dzień został aresztowany w zakładzie przez NKWD-ystów. Pierwszy o tym dowiedział się mamy rodzony brat - Tadeusz Łapiński. Kiedy zobaczył, że tata jest bardzo lekko ubrany, przyniósł mu z domu futro.

W Łapach ojciec przebywał prawdopodobnie przez kilka następnych dni. Mamusia mogła się z nim widzieć i rozmawiać. Rozmawiała też z Antonim Karpiesiukiem, który był znany jako zagorzały komunista. Nie wiem, czy on przyczynił się do aresztowania ojca. Uważano jednak, że on doskonale wiedział, kogo i za co mają aresztować. Był to nasz bardzo dobry znajomy, ponieważ mieszkał w domu rodzonej ciotki mojej mamy. Nawet mama z tego powodu dziwiła się, dlaczego on ojca nie uprzedził. On miał na to odpowiedzieć, że gdyby on tak wszystkich uprzedził, to chyba by nikogo z Łap nie aresztowano.

Po jakimś czasie ojca wywieziono do więzienia do Biłogostoku. Na ten temat nie mieliśmy już żadnej wiadomości pisemnej. Mama też już nie mogła się z nim widzieć, chociaż paczki przez pewien okres przyjmowano.

Nocą, trzynastego kwietnia /1940-go roku/ mama została zbudzona. Weszli NKWD-yści i zaczęli z mamą rozmówkę mniej więcej w ten sposób, że ojciec nasz otrzymał wyrok i chciałby wyjechać razem z nami i że oni są skłonni nas zabrać po

to, żebyśmy się z ojcem połączyli. Ponieważ mama kategorycznie odmówiła - oni wówczas wyjawili całą prawdę. Zbudzono nas. Dzieci było pięcioro. Najmłodsza moja siostrzyczka miała trzy lata, a najstarsza lat piętnaście, była uczennicą gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Białymstoku.

Ci, którzy po nas przyszli, pomagali nam się ubierać, pozwolili nam wszystko ze sobą zabrać, wszystkie drobne rzeczy - odzież, mówili, że to wszystko nam się przyda. Podjechały dwie furmanki pod nasz dom, nikt z naszych sąsiadów nie mógł się z nami kontaktować, nie wiem czy moja babcia wiedziała, czy ktoś ją o tym powiadomił, ale też nie mogła przyjść, ponieważ z nami by mogła być zabrana.

Zawieźli nas na bocznicy kolejowej w Łapach, na przejeździe od strony Uhowa. Tam stał już cały skład bydłych wagonów, do których oczywiście ładowano ludzi. Może dobrze się stało, że mama uprosiła tych, którzy nas zabierali, żeby mogła wziąć materac sprężynowy z łóżka niklowego. Ten materac postawili na pryczach i nas tam wszystkie umieszczono. Materac ten okazał się dla nas niezbędny w tym długim transporcie. W czasie drogi było bardzo zimno, padał śnieg, było bardzo mroźnie, mimo, że to był kwiecień.

W jednym wagonie z nami jechali razem - pani Gąsowska z córką i synem z Łap, pani Grudniowa - kierowniczka szkoły powszechnej w Łapach, z córką, młode małżeństwo Gołębiowskich z Gołębi, młoda osoba - nazywała się Marysia Mazur z jakimś kuzynem, nie wiem nawet, kto to był dla niej,

W Łapach staliśmy dwa dni, ponieważ przez całe dwa dni zwożono ludzi z okolicznych miejscowości. Transport nasz stał niedaleko naszego domu, ponieważ ulica, przy której

mieszkaliśmy zaczynała się od tego przejazdu, przy którym zatrzymał się ten skład naszego transportu. Po załadowaniu wszystkich wagonów pociągnięto nas pod dworzec kolejowy. Tam zebrało się bardzo dużo ludzi, prawie cała społeczność łapska. Na moście stała moja babcia i Zosia Kwiatkowska. Miała duży drewniany krzyż i tym krzyżem prawdopodobnie wszystkich nas na drogę pobłogosławiła. Zosia Kwiatkowska, a późniejsza pani Zofia Juszczyk - była wizytatorka kuratorium białostockiego.

W czasie transportu do granicy drzwi były zaryglowane, okienka oczywiście były malutkie w tych wagonach towarowych, zakratowane i nie wypuszczano nas. Od granicy przyniesiono nam jakąś zupę w wiadrze i gorącą wodę. Jechaliśmy około dwóch tygodni i naszą stacją docelową była miejscowość Kopczytaw. W Kopczytawie podstawione były już samochody ciężarowe i tymi ciężarówkami przewieziono nas do wsi Nikolskobur~~tu~~ckoje. Była to wieś od Kopczytawy oddalona o 170 kilometrów, od Wołgarowki - 30, a od Kazanki, najbliższej poczty - 12 kilometrów.

Wieś Nikolsko była położona nad rzeką *Eurtuchiem* wśród stepów pokrytych bardzo wysoką trawą, którą nazywano kobyłkiem. W pobliżu był niewielki las, z którego na plecach nosiliśmy opał na zimę. Nad tą rzeką, na małej działeczce, sadziliśmy kapustę i ogórki. Pod~~zi~~ ogórki robiło się dość wysokie grządki z nawozu, w którym robiono dołki i do tych dołków wsypywano ziemię. Ziemia tam była bardzo urodzajna i nie trzeba było nawet nawozić - czarnoziem. Jak był urodzaj to, po posadzeniu dwóch wiader ziemniaków starczyło na całą zimę. Jak nie było urodzaju, to zbierało się tylko tyle, żeby przechować drobniutkie bubki na drugi rok, żeby było

czym zasadzić.

Ludzie przyjęli nas bardzo życzliwie. Mieszkali tam tzw. Sybiracy, chociaż to nie była rdzenna ^{udność} miejscowość, Ukraińcy, to wysiedleńcy z Kamieńca Podolskiego i jego okolic w 1936r. Byli to głównie obszarnicy i podejrzani politycznie.

Później na przymusową zsyłkę przywieźli ^{Armenów i Ingusów} Gruzinów, Niemców, którzy prawdopodobnie teraz starają się o powrót na swoje tereny.

My zamieszkaliśmy u Ukraińców. nazywali się -nagaczewscy. Było nam u nich bardzo dobrze, tylko ciasno. Babcia i dziadek zajmowali się tylko domem, babcia gotowała. Jedliśmy razem z nimi, to co oni, to i my. Chleb był tylko pszenny, biały. Mama za mieszkanie i wyżywienie wynagradzała dając im różne rzeczy z odzieży, ponieważ oni byli bardzo biedni. w tym samym chodzili i spali. nie mieli prawie ubrania, nie było żadnych sklepów, nie było żadnej możliwości kupienia czegośkolwiek. U państwa nagaczewskich mieszkaliśmy dość krótko, potem przenieśliśmy się też na krótko do pani Wiszowskiej, której mąż poszedł na wojnę. Ona została z teściem i z dwojgiem dzieci. Pani ta psychicznie zachorowała, była nawet w szpitalu psychiatrycznym. Mama moja zostawała z dziećmi, z teściem. Jakoś nienawidziła tego teścia. Pobyt u niej był dla nas przykry i wyprowadziliśmy się do państwa Wojciechowskich i tam byliśmy już do końca.

U Wojciechowskich mieliśmy własny kąt.

Po nawiązaniu stosunków Sikorskiego ze Związkiem Radzieckim sytuacja się troszeczkę polepszyła. Inaczej nas zaczęto traktować. Wszyscy młodzi ludzie zaciągnęli się do Armii Andersa i wyjechali stamtąd. Zresztą wcześniej zabrali wszys-

tkie rodziny, składające się z osób dorosłych. Pozostały tylko rodziny wielodzietne i z małymi dziećmi, tak jak nasza. Po zerwaniu stosunków z Sikorskim znów się sytuacja pogorszyła. Były to lata nieurodzaju. Coraz większe kontyngenty nakładano na kołchozy i wszystko to, co było możliwe zabierano z kołchozu i wysyłano w głąb Rosji, na potrzeby między innymi i wojska. Wtedy brakowało tam żywności i dla miejscowej ludności, i my to odczuwaliśmy bardzo boleśnie. Wtedy przeżyliśmy tam najstraszniejszy głód, jaki można sobie wyobrazić. Nawet słyszało się od miejscowej ludności, że "praklatyje Palaki" wsio pożerajut, a więc całą winę przypisywano nam.

Chodziliśmy zbierać kłosa na kołchozowe pola, co było zakazane. Raz nawet tam nas złapali. Jedliśmy różne zielska, między innymi mysze¹ jest chwast zbożowy, drobniutkie ziarenka zielone, podobne do prosa, tylko proso jest czerwone, okrągłe albo podługne żółte, a to malutkie/. A sensacje takie, jak po najedzeniu się maku. Robiło się wtedy śrutę, dodawało ziemniaków w łupinach i robiło się takie placki, Jadło się czasami to, co w normalnych warunkach zwierzęta lepiej jedzą. Niektórzy nawet jedli padlinę.

Mała moja pracowała w kołchozie, ja chodziłam też do pieczenia pszenicy do kołchozu. Nic nam wtedy nie płacono. Dawano w pracy 500 gram chleba, chleb był wtedy wyjątkowo smaczny. Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego, jak najedzenia się tego chleba pod dostatkiem. Nie mogłam zjeść tego od razu, bo musiałam przynieść młodszemu rodzeństwu.

Potem paśliśmy cielaki. Było nam trochę lepiej, ponieważ jeżeli paśliśmy prywatnie cielaki, to za miesiąc dostawaliśmy ileś tam litrów mleka i jakąś ilość masła. Z mleka

mama robiła sery. Sery solilo się na zimę. Masło przetapiało się też na zimę. Mleko, sery, masło - to była podstawa naszego wyżywienia. Do tego skombinowało się trochę zboża, jakąś kaszę.

W zimie z wełny robiłam swetry, chustki, rękawice, skarpety dla miejscowej ludności w zamian za produkty żywnościowe. Latem prywatnie zatrudnialiśmy się u ludzi do robienia kiziaków. Kiziaki, to jest taki opał, wyrabiany z nawozu bydlęcego. Nawóz z chlewa zimą wyrzucany jest na sterty i niektórzy nawet latem to rozrzucali, polewali wodą, wołami wymiesili i znów na gromadę i z tego w formach trochę większych niż wyrabia się cegły ręcznie, robiło się kiziaki. Po wysuszeniu układało się w pryzmy. Kiziaki stanowiła podstawowy opał. Drzewa było bardzo mało, a gałęziami nie można było opalić mieszkania. Nie było tam w ogóle prądu elektrycznego. Swieciło się tylko kagankami.

Z niedożywienia, nędzy, brudu i głodu panowała okrutna wszawica. Wszystkie dostałyśmy świerzbu. Mama, żeby zdobyć maść od tej choroby, musiała przebyć drogę około 30 kilometrów do Wołodarówki, do lekarza - Zyda polskiego pochodzenia. Zrobił tę maść. Mama zaniósła mu masło. Ja chorowałam na malarię. Miałam również wrzód na kolanie, leczyłam tylko przykładając miód.

Mama moja pewnego razu wróciła po nocnej pracy z kołchozu, miała nogi opuchnięte. Przez kilka dni leżała, nie mogła się w ogóle ruszyć. Poradzono nam, żeby udać się do pewnej kobiety, która trudniła się zamawianiem. Była to starsza osoba, Ukrainka. Przyszła bardzo chętnie. Trzy razy paliła kłaki z konopi nad tą nogą spuchniętą, modliła się, coś zamawiała i ta noga w kilku miejscach pękła, zaczęła

ciec ropa. Z siostrą przykładałyśmy zebrane listki bobkowe i dzięki temu mama wróciła do zdrowia.

Z powodu ciężkiej pracy w kółchozie, z niedożywienia, mama moja straciła zdrowie na zawsze i obecnie jest inwalidką I-ej grupy.

Po nawiązaniu stosunków Sikorskiego ze Związkiem Radzieckim, wszyscy młodzi ludzie zdolni do służby wojskowej, opuścili naszą wieś i zaciągnęli się do Armii Andersa. Wśród nich, pamiętam, był Heniek Gajdowski, Ciesielskich syn, Czaczkowski Edek. W pobliżu naszej miejscowości byli znajomi z państwa Mieczkowscy, ich syn też poszedł do Armii Andersa. Pan Mieczkowski był razem aresztowany z moim tatą i ^{nie} wrócił. Ci młodzi ludzie już nigdy do kraju nie wrócili - pozostali na zachodzie. Syn państwa Mieczkowskich nawet zabrał matkę do Anglii.

Po wycofaniu wojska Andersa z terenu radzieckiego, powstał Związek Patriotów Polskich, na czele z wandą Wasilewską. Zaczęto formować Wojsko Polskie. Polacy byli niechętnie ustosunkowani do poczynań wandy Wasilewskiej, a wręcz wrogo byli nastawieni do ideologii Związku Patriotów Polskich. Zaczęto wtedy przymusowo wszystkich młodych ludzi, których nie wzięto ze względu na młody wiek do Armii Andersa, zabierano do formującego się Wojska Polskiego przez wandę Wasilewską. Pobór obejmował nawet moją najstarszą siostrę - Jadwigę. Chcąc obronić się przed pójściem do wojska, siostra moja zaczęła chodzić do szkoły rosyjskiej w Mikolsku, ponieważ ze szkoły uczniów do wojska nie brano. Dzięki temu, ona jedyna z mojej rodziny uczęszczała do szkoły rosyjskiej. Ja się w ogóle tam nie uczyłam, aczkolwiek byłam namawiana przez nauczycielkę.

Może i źle zrobiłam/patrząc z perspektywy czasu/, bo znajomość języka rosyjskiego wcale by mi nie zaszkodziła. Nie uczyłam się tego języka nigdy, nawet w gimnazjum, do którego uczęszczałam, liceum pedagogiczne, przedmiot ten nie był obowiązkowy.

Jak już wspomniałam, Ukraińcy wysiedleni tam w 1936 roku byli ludźmi bardzo religijnymi i religijnie bardzo rozmawiali. Nagaczewscy, u których mieszkaliśmy, zwłaszcza dziadek z babką codziennie rano śpiewali godzinki. Mówili pięknie po polsku. Ich krewna-Marcela Nagaczewska, miała jedną nogę amputowaną, chrzcizła dzieci, udzielała ślubów, odprawiała wszystkie modły za zmarłych. Pod jej kierunkiem były odprawiane nabożeństwa majowe czy też różaniec.

Polacy chętnie uczestniczyli we wszystkich tych modłach. Nikt nam w tym nie przeszkadzał, bowiem była to wieś oddalona od większego miasteczka.

Po zakończeniu wojny mama nawiązała kontakt ze swoją matką w Polsce i babcia przysłała nam wizę i pieniądze. Wiza dotarła, pieniądze - nie. Przygotowywano już repatriację, więc mama ~~za~~ ostatnie pieniądze przeznaczyła na podróż. Ponieważ to była zima, jechaliśmy bardzo długo. Wyjeżdżaliśmy stamtąd 25 marca 1946 roku. Była straszna zawieja. Odwożono nas saniami z kołchozu. Jak cielęta, jedno na drugie porzucano i przykryto nas derkami. Mama na podróż każdemu z nas musiała kupić wołjoki, okrycia, chustki wełniane, musiała wstatnie rzeczy, które miała, np. garnitur ojca, wszystko to posprzedawała. Liczyły się z tym, że jak ojciec wróci, żeby miał co nałożyć, bo ciągle myśleliśmy, że wróci tam do nas. Początkowo, bo potem to już nie było takiej nadziei. Wszystko to posprzedawała. Nakupiła dużo wełny. Ja się nawet nauczyłam prząść. Ja z siostrą robiłyśmy na drutach,

porobiłyśmy swetry, skarpety, chustki wełniane, żeby można było jechać. Jechaliśmy 30 kilometrów do Wołodarówki i nie wiem, dlaczego stamtąd nie mogliśmy wyruszyć dalej. Na skutek silnej burzy śnieżnej nie mogliśmy wyjechać. Do stacji mieliśmy około 140 kilometrów. Ze względu na burzę śnieżną, a jak wiał tam tzw. burian, to tak zawiewał, że nie było domu widać tylko śnieżne zasy. Po kilka dni ludzie nie wychodzili z domu, bo wszystko co mieli - krowy, owce, to było razem. Obok domu był chlew razem połączony, więc nie musieli wychodzić. Po ustąpieniu burzy śnieżnej, czasami z tej przybudówki wychodzili przez wierzch, żeby się odkopać. Kopało się tunele w śniegu i tylko nimi się chodziło. W ogóle nie było możliwości skontaktowania się z sąsiadem w czasie takiej zawieji. I przez tą zawieję mieliśmy kwarantannę w tej Wołodarówce. Nie pamiętam, kiedy wyjechaliśmy, ale sam fakt, że cały kwiecień i maj, dwa miesiące trwała nasza podróż.

Do Kopczytawu przywieziono nas ciężarówkami. Załadowali nas do wagonów, nie lepszych od tamtach, jakimi jechaliśmy w tamtą stronę, i przyjechaliśmy do kraju. Wiem, że jechaliśmy przez Brześć, Terespol, przez Małkinię do Łap. Bardzo dużo było ludzi z kresów wschodnich. Kto nie miał tutaj nikogo, to wszystkich kierowano na zachód, na ziemię odzyskane. Tam mama miała rodzinę, z którą była w kontakcie, była babcia, był brat jeden i drugi z obozu wrócił, siostra z Pińska przyjechała. Rodzina była, czekała na nas. Dobrze, że przyjechaliśmy w nocy. Był maj, a my w wojsłokach. Wyjechał ktoś po nas wozem i przywiózł do babci. Babcia chlebowy piec rozpałała. Zdjęto z nas wszystkie łachy i do pieca. Spaliła wszystko, kąpiel i porcjowano nam jedzenie, ponieważ

wszyscy wyglądaliśmy podejrzanie dobrze/podejrzewali, że jesteśmy tak opuchnięci/. Mama była rozżalona, że tak przed nami prawie chowają jedzenie, ale mamy brat wyjaśnił, że jak wrócił z obozu i dorwał się do jedzenia, to o mało nie przypłacił tego życiem. Wszyscy myśleli, że jesteśmy tak opuchnięci. Pod koniec nam zupełnie źle nie było. Jedliśmy dużo mlecznych rzeczy, bo już ostatnio paśliśmy cielaki. Od każdego cielaka dostawało się jakąś ilość mleka na miesiąc i masło. Mieliśmy tych produktów dużo. Na podróż mama natopila masła i sera przygotowała. To się nam w podróży bardzo przydało. Chyba też coś nam dawano w drodze powrotnej - już nie pamiętam.

Jak wróciliśmy, to już tu było wszystko przygotowane. Każda z nas miała ubranie. Ubrano nas i niektórzy dziwili się, że my tak bogato z tej Rosji wróciliśmy. Na drugi dzień przyszła do nas pani Gryngłowa w Łapach z żoną kierownika szkoły, też nauczycielką - panią Kuleszową i zaraz do szkoły. Kto, do której klasy się nadawał. Ja też poszłam się przypatrzeć do szóstej czy do siódmej, już nie pamiętam, klasy. Był już maj, koniec roku, ale żeby się z tą szkołą oswoić.

Babcia zapewniła nam wakacje. Trudno mówić o mamie. Mama nie miała ani pieniędzy, ani siły, ani chyba odwagi. Babcia zapewniła mnie i siostrze korepetycje, po których zdawałam od razu egzamin do gimnazjum. Podstawowej szkoły nie skończyłam, więc zdawałam eksternistycznie egzamin w zakresie szkoły podstawowej, a potem egzamin do gimnazjum.

Zdałam wpierw do gimnazjum w Łapach. Był tam język rosyjski i uczyła pani Błaszczukowa, moja nauczycielka, która mnie uczyła w drugiej klasie, bardzo miła, przystojna pani, ale bardzo wymagająca z tego rosyjskiego. Jak się nasłuchiłam,

to powiedziałam, że nie pójdę. ~~U~~ miała koleżankę nauczycielkę, której kolega był dyrektorem szkoły. Była tylko kwestia przeniesienia do Liceum Pedagogicznego w Białymstoku. Przeniesiono mnie tu, gdzie nie było języka rosyjskiego obowiązkowego. Szkołę tę skończyłam. Nie wiem, czy miałam jakieś powołanie? Siostra moja najstarsza chciała prawdopodobnie zostać nauczycielką, ale ojciec ~~z~~nia kiedyś przeprowadził rozmowę i wyperswadował jej i nie została. Ja natomiast miałam być prawnikiem, bo jako dziecko dobrze się zapowiadałam, a potem plany się zmieniły i zostałam nauczycielką. Prawdę mówiąc, nie brałam stypendium w szkole. A dlaczego nie brałam? Dlatego, że było gospodarstwo po ojcu, dom w Łapach, babcia bogata, a trzeba było mieć świadectwo ubóstwa, żeby dostać stypendium. Urząd miejski wystawiał świadectwo, że się nic nie ma. To było warunkiem otrzymania stypendium. Ja o takie stypendium nie mogłam się nawet starać, bo kiedyś jak mama tam poszła, to bardzo się dziwiono. Mieszkałyśmy u babci i nawet na nas inaczej nie mówiono jak Wzorkówny. Mimo, że nie miałam stypendium nigdy, nigdy nie mieszkałam w internacie, jak musiałam, to prywatnie u pani Ewy Cywińskiej i koleżanki. Nie wiem, czy mama nie chciała, żebym mieszkała w internacie, czy ~~chciała~~ mnie nie przyjęto.

Dostałam nakaz pracy i wysłano nas wszystkich w teren. Początkowo pracowałam w Ciborach Daleckich. Od razu powierzyli mi kierownictwo dość dużej szkoły/rzekomo byłam bystra/. Była to szkoła osmioklasowa. Przez pięć lat tam przepracowałam i potem przyjechał Juszkiewicz/I-szy sekretarz/, organizował się powiat i namówił mnie, ponieważ inspektorat łomżyński bardzo namawiał mnie do przenie-

sienia się do żonźy. Juskiewicz przyjechał i bardzo mnie namawiał, żeby na Zambrów. Przeniosłam się wtedy do inspektoratu, dano mi służbowe przeniesienie, wszystko było "cacy, cacy". Po pewnym czasie zaprosili mnie do komitetu powiatowego i sekretarz propagandy przeprowadził ze mną rozmowę. Mówi-my wam dali stanowisko, a wy nie chcecie nawet się do partii zapisać. Ja mówię: Pan chyba wie, jak do tego stanowiska doszło, ja nigdy o nie nie prosiłam, więc chyba żadnych zobowiązań wobec was nie mam. Oczywiście miałam od razu zrezygnować, ale on powiedział-nie, nie. Miałam to w zanadrzu, no więc jedyne co było możliwe to pójście na studia.

Dostałam urlop płatny i skończyłam studia. Po urlopie płatnym musiałam z konieczności wrócić do Zambrowa, bo mogłam dostać w Gdańsku. Tam mi powiedziano, że nawet Gdańsk by pokrył, ale Białystok bardzo się stawiał-kuratorium białostockie. Miałam mnóstwo propozycji. Jak pracowałam w liceum dla dorosłych z Wałą i chciałam się przenieść do technikum, bo tam lepiej płacili, to inspektor mnie wezwał i powiedział: są trzy miejsca ogólnokształcące w Białymstoku, wszystkie stoją otworem dla pani. Tym inspektorem szkolnym był Matysiewicz-historyk.

Jeżeli chodzi o moją pracę zawodową, to nigdy nie ukrywałam, że byłam na Syberii. Wszędzie w ankietach personalnych pisałam, że byłam wywieziona na Syberię. Był taki fakt, jak pracowałam w Zambrowie, przyjechał wicekurator Zawadzki i było rozdzielanie nagród na konferencji sierpniowej i ja byłam w tym zespole, który tego dokonywał. On wysunął moją kandydaturę do nagrody. To kolega mój, z którym się do dzisiaj przyjaźnię, powiedział! koleżanka

jeszcze musi odpokutować za swoje dawne grzechy. Ojciec tej osoby był też nauczycielem, też wywieziony na Syberię. Ale mocno się w pewnym czasie ten kolega zmienił. Jeżeli ktoś z nauczycieli wziął ślub w kościele, to chodził "na dywanik", a dzisiaj jest prawie święty. Był w wójsku Wandy Wasilewskiej, ma książeczkę kombatancką i nie potrzebuje zapisywać się do Sybiraków, jest mocno partyjny.

W jednej z opinii w moich dokumentach, to -pozytywnie, pozytywnie, a potem było takie zdanie-światopogląd nieskrystalizowany. To, że miałam przekreślony wniosek o odznaczenie w Zambrowie, tego nie wiedziałam.

Koleżanki mnie zawsze ostrzegały. Pracowałam już w szkole po studiach, Juszkiewicz należał do organizacji partyjnej w naszej szkole i zawsze mówiły, pamiętaj, będziesz z władzką rozmawiała. W przydziale czynności zawsze dostawał mnie "pod opiekę". Nigdy do takiej rozmowy nie doszło. Po Juszkiewiczu był Franek Waclawik. Juszkiewicz i Waclawik byli też nauczycielami, ale nigdy nie doszło do żadnej rozmowy. Myślę, że oni wiedzieli, że nie ma sensu.

Miałam kolegę w Zambrowie. Żona jego była kierownikiem szkoły. On zmarł pozostawiając troje dzieci. Jednego z dzieci byłam chrzestną matką. Ja już pracowałam w Białymstoku. Dziecko szło do komunii, to ona wezwała mnie, żebym ja przyjechała z Białegostoku do Zambrowa i doprowadziła dziecko jej do komunii. Zapowiedziała też, żebym dziecku nie zrobiła zbiorowego zdjęcia, żeby nikt jej nie rozpoznał. Ona była matką chrzestną statku "Zambrów" i miałyby z tego powodu jakieś kłopoty. Nie liczyła się zupełnie z tym, że ja też mogę mieć z tego powodu kłopoty. Ja chociaż mieszkałam pod samym kościołem, chodziłam do kościoła, kiedy chcia-

łam, nie robiłam tego demonstracyjnie, bo to nie leżało w mojej naturze. Nie uważałam, że mam się kryć z tym, ponieważ wychowana byłam w takim duchu i uważałam, że moich przekonań dla korzyści materialnych nie mogę zmieniać. Moja koleżanka potrafiła powiedzieć, że mnie to się nic nie stania, a jej może. Ona wyjechała do Szwecji i opluwa Polskę. Wszystkie dzieci są w Szwecji. Mój chrześniak też, któremu bardzo pomagałam ze swoich nauczycielskich poborów. Co drugi miesiąc słałam mu po 500 złotych, to było dużo, wtedy, kiedy zarabiałam 2000 złotych, i kupowałam różne rzeczy, bo uważałam, że dziecku trzeba pomóc. Dzisiaj nasze kontakty są prawie żadne. Jest wdzięczny za pomoc, a nawet zażenowany, że korzystał z mojej pomocy. Ona dziś pluje na Polskę, matka chrzestna statku "Zambrów", a jej najmłodszy syn

Jak już wcześniej powiedziałam, ojciec mój został aresztowany 17 października 1939 roku w Łapach. Początkowo prawdopodobnie, ponieważ nigdy widzenia z nim nie było, siedział w więzieniu białostockim, dokąd były dostarczane co jakiś czas paczki, nawet w dniu naszej wywózki, a więc 13 kwietnia w 1940 roku. Uzyskaliśmy pozwolenie na dostarczenie tej paczki, ale niestety nie wiedzieliśmy, czy był w więzieniu, czy nie, trudno o tym powiedzieć.

Po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Rosją przez Sikorskiego, próbowaliśmy poszukiwać ojca na terenie Związku Radzieckiego, ale bezskutecznie. Jego już tam nigdzie nie było. Zawsze była ta sama odpowiedź, że nie ma ani wśród żywych, ani wśród umarłych. To samo pisała siostra do Czerwonego Krzyża po powrocie do kraju. Rodzina, która jest za granicą też próbowała go szukać. Ojciec miał bardzo bliskiego przyjaciela, który był kapitanem w wojsku, nazywał się

Brzozowski Franciszek, zginął prawdopodobnie w Katyniu, chociaż na liście katyńskiej nie ma. To był żołnierz zawodowy. Jego rodzona siostra, która mieszkała po wojnie w Paryżu, poszukiwała nawet przez radio i mego ojca też, ponieważ mój ojciec był im bardzo bliski, zawsze do nas przyjeżdżali do Łap. Poszukiwała swego brata, ale wszelki ślad po nich obu zaginął.

Mam nawet najnowszą listę katyńską, tam jest takie nazwisko i imię w Ostaszkowie, ale pisze starszy posterunkowy, a mój ojciec nigdy nic wspólnego nie miał z policją.

Mój ojciec nazywał się Jan Płonki, urodzony w 1892 roku. Urodzony-Płonka-Stumianka, syn Wawrzyńca i Teofily.

Adres naszego pobytu w Rosji:

Sieło - Nikolskoburłuckoje,

P-ta - Kazanka

obłaść - ~~Kopeczytawskaja~~

Przez cały czas byliśmy w tej samej miejscowości.

To, że przeżyliśmy 6 lat takiej nędzy, tułaczki na tej nieludzkiej ziemi, możemy zawdzięczać tylko miejscowej ludności, która była dla nas bardzo życzliwa. Sami nie mieli, a jednak się z nami żywili. To, że powrócimy do Polski nigdy nie zwątpiliśmy. Zbieraliśmy się w mniejszych czy większych grupkach na modlitwę, ale zbieraliśmy się też na różne wróżby i przy użyciu stołu. Stół podnosząc się wskazywał, za ile tygodni ma powrót nastąpić. Ale wiara, że wrócimy towarzyszyła nam do końca i to pozwoliło nam przetrwać najtrudniejszy okres.

Notował: S. Sianko

60788

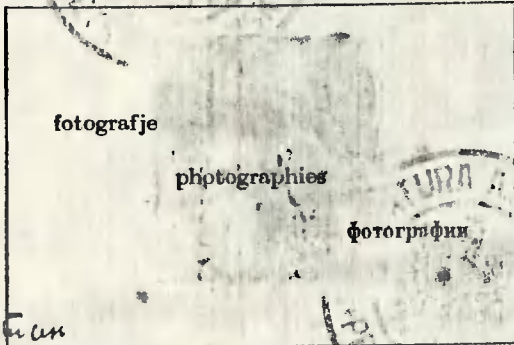


RZECZPOSPOLITA POLSKA
RÉPUBLIQUE POLONAISE
ПОЛЬСКАЯ РЕСПУБЛИКА

Nr 104/42

PASZPORT-PASSEPORT-ПАСПОРТ

Obywatel polski PLONSKA JANINA s. JAMA
Citoyen polonais
Польский гражданин ПЛОНЬСКА ЯНИНА ЯНОВНА



zamieszkały w Kikolskoje Misteński ry. Poln. Karachten
domicilié à
проживающий в Кикольское Мистенский ры. Полн. Карачтен

w towarzystwie żony
accompagné de sa femme
в сопровождении жены

podpis posiadacza:
signature du porteur:
подпись владельца:

data urodzenia 24. IV. 1906
date de naissance
число и год рождения 24, апрель 1906
miejsce urodzenia Karu ry. M. Mazowiecki
lieu de naissance
место рождения Кару ры. М. Мазовецкий
stan cywilny żona
état civil
семейное положение состоящая
zatrudnienie gosp. dom.
profession
профессия дом. хозяйства
wzrost 160 cm
taille
высота роста
twarz okrągła
visage
черты лица
włosy a. blond
cheveux
цвет волос
oczy niebieskie
yeux
цвет глаз
znaki szczególne /
signes particuliers
особые приметы

żona—femme—жена

DZIECI-ENFANTS-ДЕТИ

imię prénom имя	wiek âge возраст	pleć sexe пол
Anna s. Janina	18. IV. 1929	ż.
Dawida s. Janina	14. V. 1931	ż.
Aliza s. Janina	11. VI. 1934	ż.
Gerda s. Janina	2. VII. 1937	ż.

Kraje na które paszport niniejszy jest ważny
Pays pour lesquels ce passeport est valable
Страны для которых сей паспорт ~~важен~~ действителен

Z S.R.R. C.C.C.P.

Uprasza się wszystkie władze państw cudzoziemskich oraz poleca się wszystkim władzom polskim okazać w razie potrzeby pomoc i opiekę osobom wymienionym w paszporcie.
Les autorités des états étrangers sont priées et les autorités polonaises sont requises de prêter au porteur aide et assistance en cas de besoin.

Сим у спрашивается оны власти всех иностранных держав и поручается всем польским властям оказывать в случае надобности пред'явителю сего паспорта всякую помощь и оную содействие.

Termin ważności paszportu kończy się z dniem 31. grudnia 1944 r. (artemyl)
Ce passeport expire le 31. декабря 1944 r. (неимпер)
Сей паспорт ~~важен~~ до 31. декабря 1944 г. (неимпер)
о ile nie będzie wznowiony.
à moins de renouvellement.
если не ~~возобновлен~~ будет возобновлен.

pieczęć
sceau
печать

podpis
signature
подпись

Miejsce i data wyprawienia /
Lieu et date
Место и число
Петропавловск (1942)



Handwritten signature